

ZBIGNIEW HOŁDA

ur. 1950; Ełk



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin, PRL, łapówki, studenci, łapownictwo

Łapówki w PRL-u

Ja w życiu nie dałem nikomu jakiejś szeroko rozumianej łapówki ani nie otrzymałem łapówki, chyba że jakieś kwiatki czasami dawali studenci, czekoladki, to ja teraz muszę [sobie] przypomnieć, czy ja coś od studentów dostałem. Na pewno nie od dziennych, dzienni nie dawaliby żadnego prezentu, ale czy zaoczni studenci poza Lublinem na zakończenie zajęć jakichś nie dawali kwiatków, mogli dawać kwiaty, no to wtedy trudno było nie przyjąć. Ale raz, pamiętam, miałem kłopot, usiłowano mi wręczyć ryby. To byli studenci z Białej Podlaskiej, ja ich egzaminowałem w Lublinie, lata siedemdziesiąte. Przyszło takich chyba dwóch, jakichś takich aktywnych, i mówią, że jakieś dokumenty trzeba przewieźć z Chopina na plac Litewski. Jakoś zupełnie nie wiedziałem – głupi był człowiek – o co chodzi. Oni mnie chcieli zwabić do samochodu, co i uczynili, wsiedliśmy i jedziemy na Chopina. Wzięli jakieś papiery i mówią: „A teraz pojedziemy do pana do domu, bo, wie pan, uczyliśmy się, nad Bugiem siedząc do tego prawa karnego, łowiliśmy ryby i złowiliśmy parę ryb i tu mamy dla pana eleganckie ryby”, i to jakieś takie już oprawione w siatce. Ja mówię: „Ludzie, no coście, zgłupieli? Jak to? Ja nie mogę przyjąć od was korzyści”. A oni mówią: „Niech pan nam tego nie robi, niech pan nas zrozumie, że myśmy to dla pana robili, myśmy naprawdę sami te ryby złowili i zrobi nam pan przykrość, jak pan tych kilku [ryb nie przyjmie]”, to było kilka, nie wiem, cztery, pięć jakichś takich. Złamałem się wtedy, podjechaliśmy pod dom, żona była zdziwiona, dałem jej jakieś takie zawiniątko, to były te ryby.

Potem pamiętam, że jakiś kawałek szynki mi dawali też studenci z Białej Podlaskiej. I ja im to oddawałem, oni mi to wręczali, w końcu tarמושąc się, wyszliśmy na plac Litewski i w pewnym momencie oni mi to wepchnęli w ręce i uciekli. Już nie miałem siły lecieć za nimi. Pamiętam, że jakiegoś kolegę też zawołałem do pomocy, żeby mnie bronił przed tymi studentami, ale on był jakoś mało aktywny i też tak bezradnie, pamiętam, że nas zostawili na placu Litewskim, lato, my we dwóch stoimy i mamy kawałek szynki w ręku. No to co, wyrzucić? Nie pamiętam, chybaśmy to zjedli.

To były, można powiedzieć, drobne takie [prezenty], te kwiatki czy ryby. To byli studenci z Białej Podlaskiej w obu przypadkach. I pamiętam bardzo dramatyczny przypadek, tu była gorsza sytuacja i uniknąłem tego, ale z pomocą kolegów. Już byliśmy jako Wydział Prawa w nowym budynku i znowu Biała Podlaska się kłania, studenci z Białej Podlaskiej, oni byli jacyś tacy niezwykle uprzejmi. Wydaje mi się, że znali mnie studenci zaoczni z tych różnych grup i nawet nie usiłowali mi wręczyć czegokolwiek, jakiegoś koniaku, alkoholu, pieniędzy i tak dalej. Przypuszczam, że robili to w stosunku do innych kolegów, ale ja nie miałem kłopotu z tym, bo oni wiedzieli pewnie, że ja nie przyjmę. No, były te ryby, ta szynka. Niby dlaczego mówię o alkoholu? Raz byłem poddany właśnie próbie wręczenia mi takiej korzyści, to już o dużej wartości, to były lata osiemdziesiąte. Przyszły dwie panie, jedna mówi, że jej mąż, a druga, że jej zięć będzie zdawał egzamin, on się spóźnił o jakiś miesiąc, że jakaś łajza. Żebym jego przepytał. Mówię: „Przepytam go”. Przyprowały go, jakiegoś takiego pocziwotę. No i coś tam gadał, nie pamiętam, czy on coś umiał, czy nie umiał. Trochę może umiał, jakoś tam ten egzamin dobiegł końca i chyba nawet mu powiedziałem, że mu postawię trójkę i żeby już poszedł z Bogiem. I wtedy on otworzył drzwi, weszły te panie i usiłowały mi wręczyć butelkę chyba alkoholu jakiegoś i pomidory. Pomidory takie zielone były, dziesięć [może], ale chodziło o ten drugi pakunek, w którym był jakiś dobry alkohol. Ja im to oddawałem, one mi wręczały, więc ja oddawałem im alkohol, one mi wręczały pomidory i tak w koło. W końcu się zezłościłem i powiedziałem, że jak będą mi tutaj wpychać te prezenty, to do dziekana zatelefonuję. A jedna do drugiej mówi: „O, boi się. No, niech pan się nie boi, nikomu nie powiemy, no co pan taki”. Ja mówię: „Nie, niestety od was tego nie przyjmę” i jakoś zdołałem je przekonać, żeby opuściły mój pokój, bo to wtedy każdy miał swój pokój. Wzięły ten alkohol, stanęły sobie gdzieś tam w korytarzu, ale te pomidory zostawiły. No i w następnym pokoju siedzieli koledzy, ja prosiłem, żeby mnie uratowali. Rzecz polegała na tym, że ja musiałem temu dżentelmenowi wpisać ten stopień, czyli byłem narażony na jeszcze jeden kontakt z tą całą rodziną – prawda. I powiedziałem tak: „Słuchajcie, to ja tutaj idę teraz na parę minut, on przyjdzie z indeksem, ja mu to wpiszę i wy tu przyjdźcie za pięć minut do mnie powiedzieć: «Chodź tu szybko do nas, czekamy na ciebie, kończ» i tak dalej”. Wziąłem tego człowieka, tam mu ten stopień wpisuję, a ci zapomnieli, a ja zapomniałem ich telefonu. Zadzwoiłem do żony jednego z nich, żeby mi powiedziała, jaki tam jest telefon do ich pokoju, tam był Taracha i Nowikowski, o ile pamiętam. W końcu się dodzwoniłem, mówią: „Och, zapomnieliśmy”, weszli i uwolnili mnie od sytuacji, bo ten człowiek był, i obie te panie też weszły potem, znowu z tą butelką alkoholu. Ale jak wszedł Adam Taracha, to im się głupio zrobiło i jakoś schowały ten alkohol, ja im podziękowałem, powiedziałem, że muszę iść do kolegów. Oni potem na mnie czyhali dłuższą chwilę gdzieś tam w korytarzu i ja musiałem chyba z godzinę przeczekać, aż oni sobie pójdą, znudzą się. Z budynku Wydziału Prawa jest tylko jedno wyjście, więc właściwie mogli czyhać przy wejściu, ale

posłaliśmy Nowikowskiego na przeszpiegi, powiedział, że już nie stoją, [wcześniej] wysłaliśmy go ze dwa razy, to stali, czekali na mnie, z godzinę to co najmniej. To stoczyłem taki pojedynek, żeby nie przyjąć tego prezentu. Jakiś wartościowy musiał być to prezent, jakiś wartościowy alkohol. I potem to się skończyło, już nie miałem takich sytuacji. I studenci z Białej Podlaskiej, tak jak inni studenci, jakoś machnęli na mnie ręką i nie dostawałem żadnych prezentów, może czasami jakieś kwiaty, jak się kończyły zajęcia.

I to tyle byłoby, tak że ja nie miałem takich pokus dużych, tylko ta Biała Podlaska, tylko ci bardzo sympatyczni studenci – skądinąd – z Białej Podlaskiej, taki serdeczny naród. Bo też byli studenci z Zamościa, w Rzeszowie byli, w Stalowej Woli, ale – powtarzam – do mnie to się nie odnosiło, nie powiem, że mnie lekceważyli, ale jakoś nie chcieli mnie wynagrodzić, tak że ja nie miałem kłopotów.

Przypuszczam, że była duża skala łapownictwa w Polsce, bo za łapówki można było uznać też to, że ktoś tam płacił sprzedawczyni w sklepie, żeby mu coś sprzedała – mebel, jedzenie czy ubranie, prawda. Przypuszczam, że za łapówki można się było dostać na uniwersytet. Nie wiem, czy za łapówki można było egzamin zdać, trudno mi powiedzieć, ale boję się, że tak. Chyba też i łapownictwo było rozpowszechnione, ale jak ktoś nie chciał w tym brać udziału, to nie brał po prostu. To nie było tak, że każdy musiał dać łapówkę, czy przyjąć ją – w szczególności.

Data i miejsce nagrania	2008-12-19, Lublin
Rozmawiał/a	Marek Nawratowicz
Redakcja	Justyna Molik
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"